

Od autora: Aniela długo kazała na siebie czekać, aż w końcu pojawia się wraz z mokrym przedwiośniem.

Zapraszam więc do drugiej i tym samym ostatniej części jej historii.

Cz. II - Pory postoju

Nadchodziła wiosna. Ziemia powoli uwalniała świat spomiędzy uspionych objęć. Zieleń, do tej pory jedynie pulsująca nieśmiało gdzieś pod powierzchnią, stała się teraz ufna i spragniona ciepła jak ślepe kocię. Jednak mimo tych nakrapianych śladów życia świadczących o przemianach, krajobraz wciąż zdominowany był przez kolory ochry i błota, które zawsze naznaczają czas zmian i narodzin. Tak jakby brzydota była nieodłączną częścią cudu.

Od kilku dni nie przestawało padać. Deszcz wsiąkał we wszystko, co nie potrafiło bronić się przed wilgocią. Aniela każdego wieczoru składała ręce do modlitwy, prosząc Najświętszą Panienkę, by w tym roku Rzeka oszczędziła jej chatę. Czuła, że nie miałyby już sił na ponowne radzenie sobie ze skutkami powodzi.

Tego ranka, deszczowego jak każdy poprzedni w ciągu minionych kilku dni, obudził ją wiatr. Uderzając z impetem w okiennice, postanowił zakłócić sen domu i sprawił, że nie miała okazji, by cieszyć się najprzyjemniejszą chwilą spośród całego dnia. Niedzielnny poranek był bowiem jedyną okazją na zostanie w łóżku nieco dłużej niż zwykle, celebrując błogi stan pomiędzy jawą a snem. Takie momenty nie zdarzały się nigdy później w ciągu doby, dlatego chciała zachować z nich każdą sekundę. Nie dociążona jeszcze rzeczywistością, sunęła wtedy lekko między myślami, które zaraz po otwarciu oczu rozplywały się jak poranna mgła nad Kazimierzowym Stawem.

Tym razem jednak, zanim uspokoiła bicie serca, była już całą sobą w rzeczywistości, a ta oblepiła ją aż po czubki włosów nieznosnym poczuciem realizmu. Aniela postanowiła więc, że nie ma sensu odwlekać chwili, kiedy będzie musiała zacząć dzień. Przeciągnęła się na starej, sprężynowej wersalce, po czym wstając od razu spojrzała za okno. Niebo bębniło deszczem o parapet, jakby chciało dać do zrozumienia, że tak wczesna pobudka wcale nie była najlepszym pomysłem. Wszystko w chacie zdawało się jeszcze uspione. Szare światło świtu zacierało nieco kontury domowych przedmiotów i Aniela miała wrażenie, że pogrążone w swoistym letargu czekają, aż czyjeś dłonie przebudzą je i powołają do codziennych funkcji. Monotonne zawodzenie deszczu tylko pogłębiało to odczucie, sprawiając, że szarość i wilgoć wsiąkały przez pory w skórze wprost do żył.

Wytrącona ze swojego cotygodniowego rytuału przyjemności wylegiwania się, nie wiedziała, co zrobić z tak wcześnie rozpoczętym dniem. Gdzieś w środku czuła, że to zaburzenie owego ustalonego już wiele lat temu cyklu, nie wydarzyło się bez przyczyny i nie odejdzie bez konsekwencji. Na tę myśl jej ciało zareagowało nieprzyjemnym dreszczem. Postanowiła zaparzyć kawę z nadzieją, że reszta codziennych czynności szybko przegna niewygodne wrażenie.

Gdy wlewała wrzątek do kubka, po kuchni zaczął roznosić się dobrze znany aromat, który zawsze ją

uspokajał. Może dlatego, że budził skojarzenia o matce? O chwilach, kiedy ta przysiadła na krześle i już nigdzie się nie spieszyła. Ustawiała wcześniejsza krzątająca. Matka, popijając gorzką kawę, słuchała cichego bulgotania zupy na ogniu, a mała Aniela chłonęła atmosferę tego momentu wszystkimi zmysłami. Zapach kawy łączył się wtedy z aromatem zupy i maminego fartucha, napawając ją błogim poczuciem bezpieczeństwa. Istniały wówczas na świecie tylko one - Aniela i matka, zawieszone gdzieś pomiędzy czasami i niewidoczne dla oczu innych ludzi. W hermetycznym świecie kuchni wzajemnie karmiły się codziennym spokojem tego przedpołudniowego sakramentu.

Na to wspomnienie twarz Anieli spochmurniała gwałtownie. Zażęknęła za tą szczególną i intymną bliskością, którą odczuwała wiele lat temu, a która schowana była w niepozornych gestach czynionych jak gdyby mimochodem.

Dziś siedziała w tej samej kuchni, która jednak sprawiała już wrażenie zupełnie innego pomieszczenia. Pograżona w szarym świetle poranka, zdawała się martwa i chłodna, a spokój, jaki w niej panował miał w sobie coś złowrogo, jakby wszechobecną ciszą wysysał ze ścian życie.

Aniela postawiła kubek z parującą kawą na stole i zaczęła wpuszczać w siebie ciepło, które roznosił. Dopiero teraz czuła, jak bardzo skostniały jej ręce. Krzątała się po chacie w samej tylko podomce, a przecież ogień w piecu dawno zdążył się wypalić.

Był dopiero wczesny ranek, jednak już czuła, że dzień, w który przyszło jej wejść, odkleja powoli od tego, co przez tyle lat było jej codziennością.

Odkąd została sama, doszła do wniosku, że myśleć zbyt dużo jest rzeczą bolesną, a w dodatku niepotrzebną. Wspominać znaczy krążyć po światach zostawionych w tyle. Im milsze były to wspomnienia, im bardziej rzeczywiste światy, tym boleśniej stawało się stąpanie ich drogami. Nauczyła się więc zbaczać z wąskich traktów przeszłości i nie oglądać za siebie. Czasy, które tam zostają, krążą w nas jak dym po szklance. Przenikają się, łączą, a potem, gdy przychodzi pora, niepostrzeżenie ulatniają. Zdarza się, że zostawiają po sobie blizny - mlecznobiałe zgrubienia na pamięci są dowodem na to, że istniały.

Aniela również posiadała szramy - ślady po skaleczeniach oznaczone na osi życia. Ale kiedyś postanowiła, że nie będzie już o nich myśleć. Była przekonana, że dzięki temu wyblakną na tyle, by już nie pojawiać się w niej nawet mimowolnie. Jednak dzisiaj, gdy przysiadła na kuchennym krześle, obserwując jak para wesoło igra z powietrzem, wspomnienia znów zaczęły w niej ożywać. Może sprawił to melancholijny nastrój poranka, a może niespodziewane wytrącenie z rutynowych czynności dnia, ale czuła, że chce i musi wygrzebać z tamtych momentów to, co zazwyczaj wołała omijać. Nie wiedziała po co i dlaczego zaczęła przywoływać z pamięci dawne obrazy. Myślni widziała siebie z długim jasnym warokozem, moczącą nogi w Rzece i puszczającą kaczki na wodzie, pijanego Kazimierza, który wpadł kiedyś do chaty nagusieńki jak go Pan Bóg stworzył, krzycząc na całe gardło, że ukradli mu ubranie, gdy postanowił wykąpać się w stawie i starą Leokadię Poleszkową, jak pochylona nad wątlami plecami Mateuszka stawiała mu bańki, szepcząc po nosie modlitwy. A każde z tych wspomnień odznaczało się na jej twarzy wyraźnym grymasem.

Jednak nikt nie widział owych przypływów emocji. Nikt nie mógłby poświadczyć, jak dziwne zjawisko miało miejsce w ten deszczowy poranek pierwszej dekady marca. Nawet wróble bowiem nie wyściubiały swoich dziobów na przemoczony wiosną świat. Tymczasem ciało Anieli, jak gdyby naoliwione wspomnieniami, zaczęło rozkwitać. Obrazy napływały już bez jej woli i wiedzy i przesuwały się przed oczami w sobie tylko znanym porządku.

Jakże to dziwne, że coś, co już nie istnieje i w dodatku nie posiadamy nawet dowodów na to, że kiedykolwiek

wiek istniało, potrafi precyzyjnie się przez nasz organizm, uderzyć w niego falą emocji i w poszukiwaniu ujścia dotrzeć do oczu.

Aniela poczuła wilgoć na policzku dopiero, gdy słona kropelka nagle wpadła do wystygłej już kawy. Zrozumiała, że płacze, choć wciąż nie mogła pojąć, czy istnieje ku temu jakiś konkretny powód. Może nie powinna pozwalać sobie na tę chwilę słabości, która ją ogarnęła - pomyślała rozsądnie. Wkrótce zabrzmiały dzwony na poranną mszę, a ona wciąż siedzi w zimnej izbie i rozmyśla. Pora wziąć się w garść, na nowo uśpić rozbudzone myślą czasy. Niech śpią spokojnie kołysane oddechami tego, co minęło. Umarli nie powinni mieszkać na ziemi. Podobnie jest z przeszłością, która, gdy zanadto się w nas rozpleśni - potrafi przynieść wiele szkód. Aniela doskonale o tym wiedziała. Otarła łzę wierzchem dłoni i postanowiła rozpaść pod kuchennym piecem. Uznała ten pomysł za pierwszy pożyteczny w dzisiejszym osobliwym dniu.

Wyszła przed dom. Niebo nawet nie siliło się na obietnicę przejaśnień. Chmury, zawieszone nisko nad horyzontem, sprawiały wrażenie ociężałych. Obserwowały Anielę, gdy szła pośpiesznie przez podwórze, przygarbiona od ciężaru drewnianych szczap, które niosła w naręczu. Dotykały ją opuszkami kropel, dopóki nie zniknęła za progiem chaty. Być może był to jedyny godny zainteresowania widok, który mogły podziwiać tego chłodnego poranka nad doliną. A może chmury wiedzą więcej, niż mogłoby się nam wydawać...

Weszła do z powrotem do chaty i z oddechem ulgi odłożyła porąbane drwa na podłodze w kuchni. Wysiłek sprawił, że nie mogła uspokoić kołatania serca. Usiadła, by znów nabrać powietrza. Przed nią jeszcze cały dzień podobnych obowiązków. Choć była niedziela, nikt przecież jej nie nakarmi, nie zajrzy z pytaniem, czy potrzebna jest pomoc w rozpalaniu pod piecem.

Pięcioro synów, którymi rok po roku obdarzał ją Bóg, już dawno zmęźniało i rozeszło się po świecie. Jeden nawet mieszkał teraz w dalekiej Kanadzie, skąd dwa razy do roku przysyłał Anieli świąteczne widokówki. Ze łzami w oczach patrzyła wtedy na ten mały kawałek tekturowego kraju, którego nigdy nie poznała, a w którym cząstka niej samej wiedzie swoje oddzielne już zupełnie życie. Często zastanawiała się, co też właśnie robią te rozsiane po różnych zakątkach przestrzeni kawałki jej duszy. Nawiedzała ją wówczas bolesna, a jednocześnie ciepła świadomość tego, że matką nie przestaje się być nigdy, nawet gdy czas już się na to nie godzi.

Chwila, w której teraz pogrążona była Aniela, również odznaczała się tym piętnem. Tęsknota objawia się najbardziej wówczas, gdy samotność jak choroba toczy organizm.

Siedziała więc na krześle, wciąż nie mogąc złapać tchu. Nie wiedziała już, czy sprawił to wysiłek, czy może myśli, które wbijały się w serce niczym grad szpilek. Zresztą, nagle zaczęła wiedzieć coraz mniej. Kontury świata zacierały się z każdą sekundą bardziej. Nikły jak rozrzedzony w wodzie barwnik. Trójwymiarowy obraz, do tej pory pełen bodźców i barw, chował się teraz gdzieś wewnątrz i obkurczał do niewyobrażalnie małych rozmiarów wszystko, czym przez lata metodycznie obdarzał Anielę.

Prerażający ból w głowie sprawił, że nie czuła już nic prócz niego. Osunęła się na podłogę, przestając nad czymkolwiek panować. Rzeczywistość, pod wpływem nagłego wybuchu, zaczęła chować się do środka, do coraz bardziej niewładnego już ciała.

Wszystkie warstwy, na które przez lata stopniowo rozdzielała się Aniela - jej zmysły, odczucia, emocje; wszystko to, czego zdążyła się nauczyć - słowa, przepisy na placki ziemniaczane, a nawet umiejętność odróżniania góry od dołu, zaczęły w niej zanikać. Na powrót dążyć do jedności. Ostatnim, czego zdążyła jeszcze świadomie doświadczyć, było uczucie całkowitej czystości, nieskalanego niczym bycia gdzieś pomiędzy. Dała się więc porwać, ufnie i beztrząsco, błogiemu procesowi stawania się nicością.

Jej oczy nie mogły już tego zobaczyć, nagle bowiem stały się tylko pustym gniazdem, z którego wyfrunęły zmysły, ale deszcz za oknem powoli ustawał. Ogród na tyłach chaty oblał nieśmiały jeszcze, promień bladego słońca. Nadchodziła wiosna. Rzeka za chwilę wystąpi z brzegów.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

faith, dodano 24.02.2016 20:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.